Nr. 23. We Lwowie, Poniedziałek dnia 10 czerwca. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Z Sybiru.

Dzieło Kennana, wydane w roku zeszłym, otworzyło oczy ucywilizowanej Europy na straszliwą dolę skazańców, traktowanych z wyrafinowanem okrucieństwem przez siepaczy caratu. Bezpośrednio po ukazaniu się na jaw tej książki dowiedział się świat o świeżych katastrofach w Nerczyńsku i w Kara, potwierdzających tak wymownie prawdziwość opisów amerykańskiego podróżnika.

Cenzura rosyjska nie omieszkała dziełu Kennana zabronić przystępu w granice państwa; konfiskowano zagraniczne pisma, zawierające choćby najlżejszą wzmiankę o tej książce.

A jednak idea humanitarna podniesiona w pracy obywatela Stanów Zjednoczonych; znalazła nietylko żywe współczucie w całej Europie, ale i w pilnie strzeżonych granicach caratu rozgłośnem odbiła się echem.

Mamy tu na myśli znany list Cebrikowej wystosowany do cara...

Obecnie opuścił prasy drukarskie dalszy ciąg dzieła Kennana tworzący straszliwe *memento* dla rosyjskich rządów, gdyż opisy w niem zawarte przerażającą swą treścią przewyższają najsilniejszą wyobraźnię poetycką. Opisy mąk w piekle Dantejskiem bledną wobec katuszy zadawanych skazańcom we wschodniej Syberyi. Misyę oprawców spełniają tam z całą skwapliwością czynownicy, którzy w ten sposób usiłują sobie zaskarbić łaski rządu. I zdaje się, że się nie mylą w swej rachubie, gdyż urzędnicy, którzy na swem stanowisku usiłują choćby w drobiazgach okazać się ludzkimi dla skazańców, padają zazwyczaj ofiarą swej szlachetności — otrzymują dymisyę.

Posłuchajmy opisu Kennana, obrazującego wnętrze więzienia w wschodniej Syberyi: „Po schodach okrytych błotem i lodem zstępujemy do ostrogu i znajdujemy się w długim, niskim i ciemnym korytarzu. Podłoga nierówna i ślizka od wilgoci, którą przesiąkniętą jest cała atmosfera przepełniona nadto nieokreślonym, ostrym wyziewem, charakteryzującym wszystkie tutejsze więzienia. Kto raz odetchnął tem powietrzem, ten nigdy nie zapomni o wrażeniu w tej chwili odniesionem. Wyobraźcie sobie piwniczną atmosferę, w której każdy atom kilkanaście razy już wciągnęły w siebie ludzkie płuca, tak, iż jest ona przesyconą w najwyższym stopniu kwasem węglowym. Dodajcie do tego wyziewy z ciał ludzkich dawno niemytych, z amoniaku, z wydzielin, wreszcie z wilgotnego, gnijącego drzewa — wówczas będziecie mieli przybliżone pojęcie o atmosferze, która tam panuje. Weszliśmy do celi liczącej 24. stóp długości, 22 szerokości i 8. wysokości. Było w niej 29. skazańców. Atmosfera gorsza jeszcze niż w korytarzu, wręcz odurzająca, mimoto okien otwierać nie wolno. Na czarnych od brudu ścianach widać krwawe plamy po zabijanych pluskwach, podłogę pokrywa gruba skorupa twardo ubitego błota. Prycze ciągną się wzdłuż trzech ścian każdej.

Na żadnej niemasz i śladu posłania. Na każdego więźnia w czasie ośmiu do dziesięciu godzin przypada zaledwo pięć stóp kubicznych powietrza do oddechu. Lekarz więzienny twierdzi, że szkorbut panuje tu bez przerwy. Jeszcze gorzej przedstawiają się cele kobiece. I tu prócz pryczy niema żadnych sprzętów, posłania. Niewielka ilość skazanych może mieszkać w osobnych chatach. Trudno sobie wyobrazić większą nędzę. Są to istne psie budy, zbite z łat i desek i niepodobna pojąć, jakim cudem człowiek może w takiej norze przetrwać ostrą, tutejszą zimę."

Jakie zapatrywania żywi administracya więzienia — o tem najlepiej mogą się przekonać czytelnicy z następującego ustępu książki: „Więzienie polityczne w Kara nie było pierwotnie obwiedzione palisadą. Skazańcy mieli zatem z okien widok na okalającą ich równinę. To nie podobało się jenerałgubernatorowi Aniuszkinowi, który zrobiwszy cyniczną uwagę, że więzienie nie jest pałacem, otoczył gmach więzienny wysoką palisadą, odbierającą światło i widok skazańcom. Życzyłbym sobie, by pan jenerał rok przynajmniej posiedział w tem więzieniu. Gdyby przez 365 dni z rzędu widział tylko nagą palisadę, gdyby przez 365 nocy przespał się na gołej, rojącej się od robactwa pryczy, gdyby przez 52 tygodni przebył w tej dusznej, przesyconej smrodliwymi wyziewami atmosferze — wówczas przyszedłby niechybnie do przekonania, że więzienie nie jest pałacem... „Oprócz tego podaje Kennan jeszcze bardziej jaskrawe szczegóły o więzieniach i ich zarządcach.

Istnieją tu ciemne cele, w których skazańcy w zupełnem odosobnieniu bez światła i pryczy bywają zamknięci przez kilka tygodni. Są cele wilgotne, gdzie zamykają ich zupełnie obnażonych. Knut wprawdzie już wyszedł z użycia, ale pozostała pletnia, której wcale nie szczędzą. Istnieje jeszcze barbarzyński zwyczaj przykuwania więźniów do taczek. A jednak wszystkie te katusze są drobnostką wobec nieludzkiego traktowania skazańców przez władze więzienne.

Czynownicy nie omieszkali oczywiście oszukiwać Kennana, przedstawiając mu faktyczne stosunki w odmiennem świetle. Ale doświadczony turysta nie dał się im wywieść w pole. Udawał pozornie, że daje wiarę ich opowiadaniom a tym-

czasem po za plecami swych przewodników badał naocznie istotny stan rzeczy. W więzieniu politycznem w Kara, widział szaleńców pomieszczonych razem z resztą więźniów, słyszał o batożeniu i kolbowaniu kobiet, wobec których rozbydlęcony pułkownik Sołowjew dopuszczał się najwstrętniejszych nadużyć. W dziele swem opisał też zgon t agiczny znanego dra Weimarna, ongi protegowanego przez carową, samobójstwo młodego Eugeniusza Semjonowskiego i wiele innych wypadków, wzruszających do głębi swą grozą.

Z wielką ścisłością opowiada autor dzieje tak zwanych strejków głodowych w Kara i pogromu więźniów przez dzikie żołdactwo w maju 1882 roku. Smutna sława tego ohydnego czynu spada na jenerała Iliaszewicza, który nie uszedł zasłużonej kary.

Jedna z kobiet, uwięzionych za polityczne przestępstwo, po odcierpieniu kary postanowiła się zemścić na okrutnym gubernatorze i udało się jej wykonanie zamiaru. Zdołała się dostać do niego i zastrzeliła go na miejscu. Wtrącono ją całkiem nagą do tajnej celi, w której trzymano ją przez kilka miesięcy bez posłania i bez dostatecznego pożywienia. W końcu skazano ją na śmierć i ułaskawiwszy wytransportowano do Irkucka. Wśród zimy wyprawiono nieszczęśliwą bez ciepłej odzieży i obuwia w daleką drogę. Pospolici zbrodniarze, z którymi ją pędzono, okrywali biedną z litości własnymi łachmanami.

Jeżli się zważy, że kara i przestępstwo wobec „porządku administracyjnego“ i osławionego z swej niesprawiedliwości sądownictwa rosyjskiego nie pozostają ze sobą w żadnym stosunku, wówczas dopiero każdy przyznać musi, że nadużycia syberyjskie są najwyższą hańbą dla rządów caratu.

Pończoszka.

I.

Nie była to pończoszka modnego dziś koloru — była to biała pończoszka!

Wyszła ze skromnego warsztatu ślepej trochę staruchy i hożej wnuczki, a gdy się zjawiła w pudle sklepu z bławatami, kupiła ją, wraz z jej towarzyszką nieodłączną, jasnowłosa Pola.

Dzień, w którym jasnowłosa Pola nabyła ową tkaninę, był dla niej dniem ważnym: poprzedzał dzień jej ślubu...

Tak! Pola wychodziła za mąż, za tęgiego zucha Jana, który miał stanowisko w biurze, czarne oczy, białe zdrowe zęby, sporo zapału i serce miłością przepełnione... Jednem słowem wszystko, czego na męża potrzeba!

Było to więcej jak mówią, małżeństwo z miłości, no, a miłość... z ulicy.

Bo na ulicy poznali się: ta Pola, uboga szwaczka i ten Jan, kancelista. Poznali się i pokochali. Później postanowili się połączyć.

I połączyli się przed wielkim ołtarzem wielkiego kościoła miejskiego, a kiedy następnie wracali przez oświetlone ulice, sami, bez świadków, trochę przeziębnięci i przemoknięci, bo to już był schyłek dnia jesiennego, oboje mieli twarze bardzo wesołe.

Co chwila patrzyli na siebie, przytulali się i uśmiechali do siebie.

— Może zajdziemy na kolację? — pytał Jan, gdy przechodzili koło jasno oświetlonych szyb z napisem „*Restaurant*“.

— Na co?—odparła.—Nie! nie!... Chodźmy do domu!...

Poszli do domu i oboje wpadli szybko na trzecie piętro i z trzaskiem otworzyli drzwi do pokoiku, do *ich* pokoiku... Oboje czemprędzej zrzucili okrycia i usiedli na kanapce, na *ich* kanapce... Oboje objęli się rękoma i rozległy się pocałunki, *ich* pocałunki...

Po chwili Jan powstał, wyjął z szafki flaszkę wódki, talerz z wędlinami i koszyk z chlebem.

— Nie będziemy robili dziś herbaty. Prawda? Nie ma czasu .. zawołał, uśmiechając się ..

— Naturalnie!—odparła i zerwała się z kanapki.

Jan wychylił kieliszek, nalał Poli. Krztusząc się, wycedziła. Poczem zaczęła palcami rwać wędlinę, jeść szybko i chciwie.

— Mój kochany, czy ty codzień będziesz miał wędlinę w domu? — spytała, szeroko otwierając oczy i wydymając wędliną i chlebem rumiane policzki.

— Codzień.

— No! no!

Pokiwała głową i jadła dalej.

— A mówiłeś że zarabiasz tylko dwadzieścia zł. na miesiąc?...

— Zarabiam już trzydzieści.

— No! no!

Znowu pokiwała głową i znowu jadła; w końcu obtarła usta ręką, a rękę bibułą, zbliżyła się do Jana, pocałowała go w szyję i powiedziała:

— Będziesz dla mnie dobry, prawda?

Ucałował jej oczy i zawołał:

— Zawsze, moja droga!

Pola poczęła wyjmować szpilki z włosów i rozpuszczać swe jasne kędziory.

— I będziesz mnie kochał zawsze? — spytała po przez dwie szpilki, które trzymała w ustach.

— A ty?

— Oho! zobaczymy!... zabaczymy!...

Poczęła się śmiać...

— Wiesz co, upiłam się .. — zawołała po chwili.

— E, taką odrobiną?...

— O, ogromnie się upiłam, ogromnie...

Zbliżył się do niej...

Leżała w rozkosznem pół-omdleniu, z przymkniętemi oczyma, z rękoma rozłożonemi szeroko, ustami wydętemi i odchylonemi nieco.

— Upiłaś się?... co?.. upiłaś się?... — szeptał pieszczotliwie, całując jej usta i szyję.

— Ogromnie!... ogromnie!..,

Jan przygasił trochę światło małej lampki i odwrócił się, wsparłszy o komodę; słyszał jak

tuż — tuż za nim na krzesło spadały spódniczki, kaftaniki, jak Pola ciężko oddychała, jak wreszcie zrzuciła na ziemię trzewiczki...

Nagle odwrócił się szybkim ruchem; przybiegł do niej, ukląkł u stóp jej i począł całować jej — białą pończoszkę.

— No, dajże pokój, jakiś ty niegrzeczny, widzisz! — wołała, zakrywając się obnażoną ręką — poczekaj, zdejmę pończoszki...

— To już ja ci zdejmę... — szeptał.

— Nie! nie!... nieznośny jesteś... nie chcę!

Cała zapłoniona i drżąca broniła się ręką.

— Mój kochany... mój drogi... — szeptała tym szeptem nerwowym i urywanym — no widzisz... widziś jakiś ty niedobry!...

Nagle pończoszka pękła i — rozdarła się...

Wyrwała mu nóżkę z pod ust i wślizgnęła się pod kołdrę.

Pończoszka leżała na ziemi — rozdarta.

II.

Był to letni wieczór, a przez otwarte okno do zastawionego licznemi sprzętami pokoiku wpadał zapach podwórzowej akacji.

Tego wieczoru był nawet i księżyc na niebie i na podwórku, nieśmiało błąkał się po framudze okna, nie mogąc wedrzeć się głębiej do pokoiku, w którym od sufitu zwieszała się żółtym płomieniem ziejąca lampa, a na stole wystygał samowar.

Siedzieli sami: on wyciągnięty w fotelu łysy, z siwemi bokobrodami, z nosem wydłużonym i głęboko wpadniętemi jamami ocznemi, ona na krzesełku w białym, rurkowanym czepeczku, długim swobodnym kaftanie i okularach na nosie, zgarbiona i zgięta.

On siedział bezczynnie, złożywszy ręce na piersiach, ona szybko przesuwała w wyschniętych i pokurczonych palcach druty i robiła pończochę.

— Stara!

— No?

— Była dziś Julka?

— Była.

— A Stasiek?

— Był... Jutro idzie do szkół. Przyszedł prosić babcię o błogosławieństwo, a babcia kończy mu na jutro wyprawę: sześć par skarpetek... Już będzie nosił skarpetki!...

Uśmiechnęła się i jeszcze szybciej poczęła przebierać drutami.

— Stara!

— No?

— Wiesz co, w ogrodzie zdechł dziś łabędź, ten czarny.

— E, dla czego?

— Albo ja wiem!...

Zamyślił się...

— Czyś zgodziła inną babę do posług — zagadnął po chwili.

— Pamiętaj, tamta szelma zdzierała!... trzeba oszczędzać, trzeba oszczędzać...

Podniósł się szybko z fotela, wyjął z kieszeni surduta kolorową chustkę, obtarł nią łysą głowę i z fantazją nałożył zszarzaną czapeczkę turecką; następnie zrzucił surdut, wdział lekki mocno zatłuszczony szlafrok, zapalił fajkę i nierównym krokiem począł się przechadzać po pokoiku.

— To akacja pachnie, prawda?

Zbliżył się do okna; wyniosła chuda jego postać oblała się w tej chwili łagodnym blaskiem.

— Śliczny wieczór, stara! — zawołał.

Wpatrzył się w niebo, ziewnął, oparł się o ścianę i począł sobie z cicha nucić:

„Nie będę się żenił
Aż mi sto lat minie,
Aż mi sto lat minie..
Wezmę sobie do dom
Dobrą gospodynię,
Dobrą gospodynię!...“

Odwrócił się raptem, sięgnął do kieszonki wzorzystej kamizelki i zawołał:

— Ale, stara, mam dwie nowiuteńkie złotówki.

I, zbliżywszy się, rzucił na stół parę lśniących się monet.

— Trzeba zaraz schować — dodał — tam... wiesz... na wieczny odpoczynek...

Staruszka spojrzała na stół...

— Et, nudzisz!

To mówiąc, powoli zdjęła okulary, położyła je wraz z robótką na stole i powstała. Podeszła do małej zielonej skrzynki... Otworzyła ją małym kluczykiem i z jakiejś kryjówki n spodu wyciągnęła szary woreczek.

Woreczek był pończoszką, której cała stopa, drobna i wąska, szczelnie była wypchaną.

Staruszka położyła go na stole i poczęła odwiązywać różową wstążeczkę.

— Dużo mamy? — spytał, wpatrując się w jej ręce zmrużonemi oczyma.

— Przecieżeś onegdaj rachował — odparła z pewnem niekontentowaniem.

— To nic... to nic!... wysyp!... wysyp!...

Wysypała srebro i złoto na stół i poczęła liczyć. On odstawił fajkę i prawie cały położył się na stole. Ona, śliniąc co chwila palce, z całą starannością i ostrożnością, segregowała i układała monety równej wartości parami.

— Pamiętaj, Pola — mówił staruszek — jak ja umrę, to połowę wydasz na mój pogrzeb, połowę zostawisz dla siebie..

A może ja, mój Janie, wcześniej umrę? — powiedziała, spoglądając na niego jasnemi swemi oczyma z pod zaczerwienionych i opuchłych powiek.

— Ot, nie gadałabyś! — ofuknął.

Przekamarzali się, licząc.

A tymczasem na stole leżała wyciągnięta, porzucona pończoszka...

Dwoje staruszków nie zwracało na nią bynajmniej uwagi, i pewnie nigdy już na nią uwagi nie zwróci...

Ale czytelnik powinien mieć wzrok bystrzejszy.

Powinien zauważyć, iż właśnie na wierzchniej stronie, na tej przechowującej fundusze pogrzebowe pończoszce, jest szew, jeden długi szew, wykonany ściegiem krzyżowym a włóczką różową, szew ciągnący się aż od stopy a świadczący dobitnie, iż ta pończoszka kiedyś, kiedyś była — rozdartą...

Kiedy?...

O, na świecie mija wszystko, nic nie ginie a zdarzenia dziwnie się plączą..

U.

„Własna pani“

(Z cyklu „Młode małżeństwo“).

Kto wie, jak w okamgnieniu, śmiało
Przenika nagle myśl niewieścia
Sprawy, o których się nie miało
Pojęcia całych lat dwadzieścia, —

Kto wie, jak szybko w ślad motyla
Dziewicą staje się podlotek,
W żonę dziewica się przesila:
Ten drwić nie będzie z moich zwrotek.

Jak królów berło w futerale
Tkwił władzy duch w tej cichej trusi;
Futerał teraz zbędny wcale,
Chwila wydobyć berło musi.

Korzy się przed niem żonkoś młody
I szepcze w słodkim wciąż zachwycie:
— „Królowo słońca i pogody,
Weź w lenno całe moje życie...“

Tak, słońce, zda się, idzie za nią,
Pogoda hołd jej złożyć skora,
Bo dziwnie piękną „własną panią“
Przez dobę stała się — od wczora.

Jednak nietylko czar słodyczy
U stóp jej tronu ciągle drzemie;
Owszem energia przewodniczy
W potężnym rządów jej systemie.

Ta wszystkich wielkich czynów matka,
Co każdy wrogi zamach zdmuchnie,
Wśród nowostworzonego światka
Ma resort spraw wewnętrznych: kuchnię.

O, znać potrzeba nasze sługi.
Najgorzej raz im pofolgować!
Będzie precedens na raz drugi
I wiecznie potem walką prowadź!

Odrazu brać je za czuprynę,
Rozwinąć samoistność całą,
Oto lekarstwo jest jedyne,
Jedyny sposób wyjścia z chwałą.

Niech sługa wie, że trudna rada
Z tą „własną panią“, która dumnie
Na wszystko ciągle odpowiada
Jedno: „Tak a tak będzie u mnie!“

* * *

Projekt obiadu... Jak surowo
Pani rozważa myśl Maryni!
Ta radzi barszcz dać i wołową
Pieczeń i ciastka piccolini.

— „Ach, pani na to, takie menu
Z mym gustem wcale się nie zgadza...“
(Czytaj: Czyż można, aby w cieniu
Został mój pomysł, moja władza?)

„O cytrynowej pomyśl zupie,
O sznyclach z groszkiem, a na trzecie
Nie piccolini pan dziś schrupie:
Zrobimy słodki krem w pasztecie“.

Chmurnieje sługa. Chmurne obie...
Marynia zwłaszcza stroi twarze
Okropne.. — „Nie dasz rady sobie?
Ja ci wyjaśnię, ja pokażę“.

Sługa do miasta, a z uciechą
Pani w pokoju swym się chowa...
Dobywa książkę, wiedzy echo;
Napis brzmi: „Ćwierciakiewiczowa“.

Jak bramin nad błękitną falą
Gangesu, lub jak alchemista
Nad tyglem, gdzie się kruszce smalą,
Jak pielgrzym wreszcie, gdy cienista

Oaza chłód mu dać przyrzeka:
Tak ona cała w dziele tonie,
Z którego cennych rad opieka
Jak anioł wznosi ku niej dłonie.

* * *

Wróciła sługa... Sieką, tłuką,
Gotują, smażą — w ruchu wszystko;
Ba, jest mozolną wielce sztuką
Władanie rądlem lub kopystką.

— „Za wielki ogień!“ (sługi słowa).
— „Za wielki? Raczej mów: za mały...
Dołóż no drzewa..“ — „Tu kremowa
Masa...“ — „Za grube w niej migdały.“

— „Czyż niedość tarłam?“—„Niedość zgoła!“
— „Nastawić groszek?“ — „Później nieco!“
— „Na sznycle czas...“—„Czas? pani woła.
Niech na patelnię zaraz lecą!“

To samoistność, co się zowie!
Znać „własną panię“! Lecz, o wstydzie,
Nie gotów jeszcze i w połowie
Obiad, a tu już pan mąż idzie.

— „Nakryj stół prędko!“ — Znika sługa
— „Gosposiu...“ przybysz żonkę wita;
Całując, szepcze coś i mruga
— Trudów nagroda to obfita.

Pani się skarży: — „Co kłopotów
Ze sługą...“ — „Przestań, lube dziecię.“
— „Obiad dotychczas, nie jest gotów“
— „Nam i bez niego dobrze przecie“.

I znów ją ściska, znów ją tuli.
— „Żonusiu, luba ma, jedyna...“
Lgnąc do pieszczocha coraz czulej,
Pani o kuchni zapomina.

Wtem z hukiem stukiem sługa goni
O, zgrozo! Chryste, panie miły:
Zupa wybiegła, ni krzty po niej,
Na węgiel sznycle się spaliły.

Z rury dym bucha.. Precz nadzieje
Na ciastka: spłoną tam w otchłani...
— Pośrodku ku hui zaś goreje
W uścisku pana.. „własna pani“.

St. Ross.